

## **Agnieszka Kołakowska: Krótka obrona liberalizmu**

Potrzebujemy powrotu do zasady równości wobec prawa, uniwersalizmu, wolności wypowiedzi, indywidualnych swobód, odpowiedzialności indywidualnej. Jest to jedyny skuteczny sposób walki z multikulturalizmem - przeczytaj w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Kisiel. Blaski i cienie polskiego liberalizmu tekst Agnieszki Kołakowskiej, który pierwotnie został opublikowany na łamach Teologii Politycznej Co Miesiąc.

Jak to? Ktoś jeszcze chce bronić liberalizmu? Czy może to trochę tak – mógłby ktoś snuć podejrzenia, czytając powyższy tytuł – jak z tym dzieckiem, które musiało w szkole napisać wypracowanie pt. „Dlaczego kocham Związek Sowiecki” i które w końcu, wypytawszy oburzonych rodziców, wujków, ciotki i innych dorosłych, napisało: „Kocham Związek Sowiecki, bo nikt go nie kocha”? W atmosferze powszechnej niechęci do liberalizmu, jaka zdaje się dziś w Polsce panować i na lewicy i na prawicy – choć skoro każdy rozumie to słowo inaczej, należałoby raczej mówić o niechęci do „liberalizmu” – czytelnik mógłby zakładać, że bronię liberalizmu, bo nikt inny nie zdaje się skłonny go bronić. A więc z czystej przekory, w duchu kontestacji, żeby nie było nudno, żeby był, jak to się mówi, ruch w interesie. Pochopny jednak i niesłuszny byłby to wniosek.

Ale dlaczego nikt już nie kocha liberalizmu? Zwłaszcza, wydaje się, w Polsce. W innych zachodnich liberalnych demokracjach – w Wielkiej Brytanii, w Stanach Zjednoczonych, we Francji – istnieje nadal, wśród konserwatystów i na lewicy, silne przywiązanie do tradycji liberalnych i zasad liberalizmu; są to zasady, które w życiu politycznym nadal stanowią naturalny punkt odniesienia. Co więcej, przywiązanie do nich w tych krajach zdaje się dziś o wiele silniejsze wśród konserwatystów, niż na lewicy. Nic w tym dziwnego, ponieważ zmieniła się lewica: nowa lewica, ze swoim przywiązaniem do politycznych programów multikulturalnych, stała się głęboko nieliberalna. Nie może być liberalna, skoro multikulturalizm – rozumiany jako program polityczny, który nakazuje uprzywilejowanie pewnych grup – jest nieliberalny z definicji. (A jeśli na dodatek jest antyglobalistyczna i antywolnorynkowa, tym bardziej nie może być przywiązana do liberalizmu).

Tutaj nie ma zatem niespodzianek: dzisiejsza polska i zachodnia lewica – skoro ta pierwsza po prostu przejmuje en bloc wszystkie zachodnie mody – są w swoim nieliberalizmie w pełnej harmonii. Natomiast między polskim a zachodnim konserwatyzmem jest pod tym względem bardzo istotna rozbieżność. „Główny nurt” zachodniego konserwatyzmu jest liberalny; większość brytyjskich, amerykańskich i francuskich konserwatystów (o innych nie mówię, bo ich nie znam) określiłaby się jako liberalna. Zaryzykuję nawet twierdzenie, że ogromna ich większość tak by się określiła. Tekst Milla O wolności nadal jest dla większości z nich lekturą podstawową, niezależnie od politycznej orientacji – konserwatywnej, lewicowej, mniej lub bardziej libertariańskiej. Tam lewica go nie zawłaszczyła; jest to nadal niezmiernie ważny punkt odniesienia. A zarzut nieliberalności,

wysuwany wobec jakiegoś programu politycznego, jest zarzutem poważnym – może najpoważniejszym. I dość często bywa wysuwany.

W Polsce takich zarzutów raczej się nie słyszy; nigdy nie słyszałam, by konserwatysta zarzucał lewicy, że jest nieliberalna, ani odwrotnie. A zarzut taki można by z powodzeniem wysunąć wobec obu stron. Ale skoro żadna z tych stron liberalizmu nie kocha, oczywiście zarzut ten nie jest dla nich żadnym zarzutem, nic dziwnego zatem, że nie bywa przez nich wysuwany.

W pewnej mierze ta niechęć do liberalizmu po obu stronach jest skutkiem nieporozumień czysto językowych. Czasem ma się wrażenie, że nikt nie wie, o czym właściwie mówi. Dla wielu słowo „liberalizm” stało się obelgą wyzuta z treści. Przez dzisiejszą lewicę, w Polsce i gdzie indziej, bywa używane na zmianę z „neoliberalizmem”, a obie te bliżej nieokreślone rzeczy mają być czymś z definicji złym, prawicowym, związanym z „kapitalizmem”, i to zawsze „dzikim”. Polska prawica z kolei automatycznie postrzega liberalizm jako liberalizm lewicowy i krzywi się na samą myśl o nim. Do tego antywolnorynkowe nurty na polskiej prawicy są zdolne do jednoczesnego potępiania liberalizmu w sensie angielskim, ekonomicznym, kojarzącym się gdzie indziej z prawicą (choć czasem mówią, jak lewica, o „neoliberalizmie”), i w sensie amerykańskim, kojarzącym się z lewicą. O klasycznym liberalizmie nikt zdaje się nie pamiętać.

Cóż więc znaczy bycie liberałem w tym klasycznym sensie? Znaczy to przynajmniej tyle: że za najważniejsze zasady dobrego państwa uznaje się przede wszystkim: wolność, równość wobec prawa i swobody indywidualne – podstawowe zasady liberalizmu. Zgodnie z zasadą maksymalizowania indywidualnej wolności i minimalizowania państwowej ingerencji, większość liberałów w tym sensie – ale nie wszyscy – uważa też za ważne ograniczenie roli państwa do

niezbędnego minimum. Z klasycznym liberalizmem wiąże się też podział państwa na sferę prywatną i publiczną. Do tej pierwszej należy m.in. kultura i religia. Liberalizm w tym sensie sprowadza się do ram prawnych, wyzutyk z treści; jest neutralny co do wartości, co do koncepcji szczęścia, co do koncepcji wspólnego dobra.

Polscy konserwatyści bywają – wydaje mi się, że coraz bardziej – niechętni i nieufni wobec liberalizmu. Po części dlatego, że, jak już wspomniałam, postrzegają liberalizm – niesłusznie – jako z definicji lewicowy. Albo obawiają się, że niechybnie takim się stanie, co w sumie sprowadza się do tego samego. Ale ich niechęć budzi też sam minimalizm państwa zbudowanego na liberalnych zasadach. Polscy konserwatyści niekoniecznie kochają minimalne państwo. Uważają na ogół za ważne, żeby państwo było ugruntowane na jakiejś konkretnej koncepcji wspólnego dobra. Niektórzy z nich chcieliby także dość silnego państwa opiekuńczego. Idee komunitarne ostatnio zyskały wśród nich na popularności (choć zyskały też na popularności w różnych krajach Europy Zachodniej). Niektórzy z nich bywają tak samo antyglobalistyczni i antywolnorynkowi, jak najradykałniejsze odłamy nowej lewicy. Wreszcie prawie wszyscy polscy konserwatyści są konserwatywni i obyczajowo, i gospodarczo. Ale w większości są to też – co może najważniejsze – katolicy. Ich konserwatyzm jest katolicki. A raczej – przynajmniej tak często się wydaje – ich katolicyzm jest konserwatywny: są bardziej konserwatywnymi katolikami, aniżeli katolickimi konserwatystami. Co oczywiście mogłoby po części tłumaczyć tę nierzadko wśród nich spotykaną niechęć do wolnego rynku i umiłowanie do państwa opiekuńczego.

W większości krajów Europy Zachodniej i w Stanach Zjednoczonych jest inaczej. Konserwatyści to przede wszystkim wolnorynkowcy (w większej czy mniejszej mierze, niekoniecznie typu laissez-faire) i przeciwnicy ingerencji państwa tam, gdzie nie jest to konieczne. Przede

wszystkim jednak są to liberałowie. Nie znam żadnego brytyjskiego konserwatysty, który by się tak nie określił. Znam też wielu, którzy nie są wierzący: religia w koncepcji państwa ustanowionego na zasadach liberalizmu należy do sfery prywatnej. Konserwatysta może być mniej lub bardziej wolnorynkowy, mniej lub bardziej libertariański w swoim podejściu do sfer, w które państwo powinno ingerować, mniej lub bardziej liberalny w swoim podejściu do obyczajowości. Ale żaden z tych, których znam, czy których teksty czytam, nie chciałby państwa, które by ingerowało w sprawy obyczajowe. Prawie każdy z nich sprzeciwiałby się, na przykład, małżeństwom homoseksualnym; tu byłby z polskimi konserwatystami w zgodzie. Prawie żaden natomiast nie sprzeciwiałby się związkom partnerskim. Różnica polega na tym, że to drugie należy do sfery równości wobec prawa; to pierwsze nie. Kwestia definicji małżeństwa z prawami obywatelskimi czy z uprawnieniami nie ma nic wspólnego; w przekonaniu o wadze tradycyjnej definicji małżeństwa i chęci jej zachowania w prawie nie ma nic, co by przeczyło liberalnym zasadom. Nie byłaby też większość brytyjskich czy francuskich konserwatystów w zgodzie z polskimi na temat, na przykład, manifestacji gejowskich, których zakazanie żadnemu z nich nie przyszłoby nawet na myśl. Ani jako praktycznie wykonywalny ruch polityczny, ani jako teoretyczna możliwość, ani nawet, śmiem podejrzewać, jako coś pożądanego, ponieważ zakaz taki byłby nie tylko politycznie niemądry i w końcu przeciwnie skuteczny, lecz także sprzeczny z główną zasadą liberalizmu, jaką jest równość wobec prawa: wszystkie ugrupowania mają równe prawo do manifestacji.

Podkreślam ten przykład manifestacji gejowskich z kilku przyczyn. Po pierwsze ze względu na jego znamienność: próby ich zakazania w Polsce to jeden z najwyraźniejszych przykładów różnic między polskimi a zachodnioeuropejskimi i amerykańskimi konserwatystami – są jaskrawym, a nawet szokującym przykładem podstawowej natury tej różnicy. Są szokujące nie tylko dlatego, że w innych krajach Europy –

najbardziej może w Wielkiej Brytanii – „długi marsz przez instytucje” odbył się z powodzeniem, z którego Antonio Gramsci byłby dumny; instytucjonalizacja politycznie poprawnych programów pod hasłem „multikulturalizmu” tak głęboko zapaściła korzenie, że coś takiego byłoby teraz po prostu nie do pomyślenia. Lecz także dlatego, że pomysł ten, gdy po raz pierwszy w Polsce się z nim zetknęłam, był dla mnie szokujący, i sądzę, że większość brytyjskich konserwatystów zareagowałoby nań z podobnym zdumieniem: dla ogromnej większości wśród nich jest oczywiste, że żadnej grupie prawa do manifestacji nie można odebrać.

Warto w tym kontekście raz jeszcze i bardzo skrótowo przypomnieć wyrok sądu w słynnej sprawie Skokie w maju 1978 r. i uzasadnienie tego wyroku. Siódmy Okręgowy Sąd Apelacyjny Stanów Zjednoczonych, pozwalając na przemarsz nazistów przez żydowską dzielnicę Skokie w okolicach Chicago, odwołał się do Pierwszej Poprawki do Konstytucji amerykańskiej, która gwarantuje prawo do wolności słowa. Wydając wyrok w takich sprawach, sąd musi mieć na uwadze dwie rzeczy: z jednej strony zagrożenie dla demokracji i dla samej konstytucji, jakie może powstać wskutek ograniczenia prawa do wolności słowa i spokrewnionego z nim prawa do wolności zgromadzeń; z drugiej, konkretne zagrożenia, jakie w danym przypadku mogłyby z nieograniczania tych wolności wyniknąć. W tym przypadku sąd zdecydował, że nie istnieje żadne zagrożenie dla demokracji i społeczeństwa, które by mogło uzasadnić ograniczenie tych praw. Warto zacytować kilka fragmentów uzasadnienia wyroku w sprawie Skokie:

„Naszym zadaniem jest zdecydować, czy Pierwsza Poprawka chroni zamierzone przez apelantów czynności, a nie wydawać moralne sądy na temat ich poglądów. (...) Warto dodać, iż życie w tym kraju różni się od życia w Trzeciej Rzeszy między innymi właśnie tym, że nasz system

konstytucyjny chroni niepopularne w rozmaitych okresach i miejscach mniejszości przed państwowym prześladowaniem i zastraszaniem. (...) Czynności zamierzone przez apelantów podlegają ochronie Pierwszej Poprawki, która gwarantuje prawa do wolności słowa i zgromadzenia. (.....) Sama publiczna nietolerancja lub wrogość nie może stanowić podstawy ograniczania tych konstytucyjnych wolności. (...) Wolne społeczeństwo woli ukarać tych nielicznych, którzy nadużywają prawa wolnego słowa, dopiero po pogwałceniu przez nich prawa, aniżeli zakneblować ich, i wszystkich innych, zanim to uczynią. (...) Decyzję naszą dyktuje podstawowa zasada, że jeśli te prawa cywilne mają pozostać dla wszystkich żywotne, muszą chronić nie tylko tych, których społeczeństwo akceptuje, lecz także tych, których poglądy społeczeństwo jak najśluszniej odrzuca i potępia...” .

Oczywiście można się z tym wyrokiem nie zgadzać; można argumentować, że takie zagrożenie istniało i uzasadniało zakaz przemarszu. Nie o słuszność czy niesłuszność wyroku mi w tej chwili chodzi. Przytaczam tu ten przykład w celach porównawczych: by pokazać – i to drugi powód, z którego w tym krótkim i bardzo szkicowym tekście poświęcam mu tyle miejsca – dlaczego pomysł zakazania manifestacji gejowskich może być szokujący dla brytyjskich czy amerykańskich konserwatystów, wychowanych w duchu tych najbardziej podstawowych zasad liberalizmu, jakimi są równość wobec prawa i wolność słowa – zasad, które nie pozwolą zakazać przemarszu nazistów przez dzielnicę żydowską. Lecz przytaczam go też, by pokazać, jak powrót do zasad liberalizmu może obecną sytuację uleczyć. Należy bowiem w tym kontekście zauważyć także inną, zwłaszcza dziś niezwykle istotną, zaletę zasad liberalizmu, mianowicie że zasady te, zobowiązując nas do tolerowania manifestacji gejowskich w prawdziwym sensie słowa „tolerancja” – to znaczy do uznania i uszanowania prawa tej grupy do manifestowania, jakkolwiek zjawisko „parady równości” może nam się wydawać absurdalne, zbędne,

estetycznie odrażające czy, dla niektórych, moralnie szokujące – jednocześnie nie pozwala tym czy innym grupom wymagać od nas „tolerancji” w tym drugim, sztucznym, dla celów czysto politycznych wymyślonym i dziś narzucanym przez polityczną poprawność znaczeniu, to znaczy nie może wymagać od nas, żebyśmy chwalili czy podzielali ich wartości. Mamy prawo ich nie lubić i mamy prawo tę niechęć wyrażać. (Mamy też prawo, nota bene, obrażać ich „uczucia” – zwrot często dziś używany, ale o bardzo niejasnym znaczeniu – czy po prostu ich obrażać, dając wyraz swojej niechęci: zasady liberalizmu nie pozwalają nam ich zabijać, cenzurować, dyskryminować ani odmawiać im wolności zgromadzenia, ale nic nie mówią o uczuciach ani o obrażaniu). Nasz obowiązek wobec nich ogranicza się do uznania ich równości wobec prawa.

Liberał, konserwatywny, jak i lewicowy, wierzy też, że dobre państwo może być neutralne co do koncepcji dobra – wspólnego i indywidualnego. Więcej: wierzy na ogół, że dobre państwo nie tylko może, lecz musi takie być. Polski konserwatysta natomiast na ogół temu przeczy. Minimalne państwo uwiera go i jawi mu się jako niebezpieczne – jako prowadzące do wszystkich tych plag i absurdów, które oto teraz wokół siebie w każdej prawie liberalnej demokracji widzimy (i wśród których można by też wymienić, choć chyba jednak nie na pierwszym miejscu, nawet z punktu widzenia polskiego konserwatysty, właśnie manifestacje gejowskie). Ważniejsze dla niego niż prawne ramy oparte na zasadach liberalizmu są konkretne wartości, na jakich państwo to powinno się opierać, i których szanowanie chciałby w jakiś sposób zapewnić prawem. Wybór polskiego konserwatysty jest więc odwrotny, niż wybór liberała; liberał, nawet jeśli podziela wszystkie te wartości i w pełni się zgadza co do ich wagi, zasady liberalizmu uważa za najważniejsze. Co więcej, uważa je – o czym za chwilę – za jedyną obronę przed plagami nowoczesnych liberalnych demokracji.

Co za tym idzie, w polskim konserwatyzmie nacisk zdaje się być położony raczej na społeczeństwo, niż na jednostkę; na wspólne dobro, na którym dobro indywidualne (już w jakiś sposób przez państwo określone) ma się opierać, nie zaś na dobro indywidualne, swobodnie przez każdego określone i wybierane, ani na tę wolność indywidualną, ograniczoną tylko prawem, która jest podstawą myśli liberalnej; wreszcie – tendencja rzadziej spotykana, ale jednak o wiele częściej, niż u zachodnich konserwatystów, i z tej racji godna uwagi – na „sprawiedliwość społeczną”, w najszerszym (niekoniecznie z redystrybucją związanym) znaczeniu tego pojęcia, bardziej niż na równość szans.

Konserwatystów polskich i zachodnich łączy silna niechęć do wszelkich utopii, do inżynierii społecznej, do idei postępu, która odrzuca przeszłość i chce stworzyć nowy, lepszy świat i nowego, lepszego człowieka; wszyscy oni przywiązują wagę do tradycji i tradycyjnych wartości, do przeszłości, do pojęcia natury człowieka i do pewnego naturalnego ładu, w którym człowiek ma swoje miejsce. (Wielu z nich także – w odróżnieniu od większości chyba, ale nie wszystkich, liberałów – postrzega wyżej wymienione przekleństwa nowoczesności jako dziedzictwo oświecenia). Ci pierwsi jednak, w odróżnieniu od większości konserwatystów zachodnioeuropejskich i amerykańskich, mają tendencję do postrzegania tych utopijnych idei jako nieodłącznych od idei liberalizmu. Niesłusznie: moim zdaniem są z nią sprzeczne. Ani liberalizm, ani idea lewicy nie mają w oświeceniu swojego jedyne źródła. Idea uniwersalizmu, dla liberalizmu podstawowa – owszem, być może. Ale uniwersalizm nie pociąga za sobą w sposób nieodparty, ani w żaden inny sposób, wiary w postęp ani w możliwość ulepszania człowieka, ateizmu ani scjentyzmu, ani odrzucenia tradycji, ani postmodernizmu, ani relatywizmu, ani multikulturalizmu, ani żadnych innych plag współczesnych liberalnych

demokracji. Pamiętajmy też, że były inne oświecenia poza francuskim, z którego niektóre z tych ideologii rzeczywiście wypłynęły. Ani angielskie, ani szkockie, ani amerykańskie, nie mówiąc o polskim, nie było związane z utopijnym myśleniem o człowieku ani z tryumfem radykalnego racjonalizmu. Ale spór o liberalizm jest oczywiście w pewnej mierze także starym sporem o oświecenie.

Nie jest też w żaden nieodparty sposób związana z liberalizmem idea doskonalenia człowieka. Niektórzy liberałowie, owszem, czasem twierdzą, że liberalna demokracja polepszy człowieka czy też przyczyni się w jakiś korzystny sposób do jego rozwoju, ale tego typu przekonania nie są koniecznym składnikiem liberalnej myśli i bynajmniej nie wszędzie w niej występują. Nawet u Milla nie są w sposób konieczny związane z ideą liberalizmu; jego myśl jest spójna bez tego elementu.

Debata o liberalizmie – i obrona liberalizmu – wydają się dziś ważne z co najmniej dwóch przyczyn. Po pierwsze, dzisiejszy opłakany stan naszych liberalnych demokracji, skorumpowanych i w dużej mierze kontrolowanych przez oligarchię politycznie poprawnych elit, jest skutkiem odejścia od zasad liberalizmu. Nie chodzi teraz tylko o sprzeniewierzone, odrzucone, tępione podstawowe wartości i tradycje; chodzi raczej o to, że w imię „multikulturalizmu” i innych związanych z tym politycznym programem postępowych mód są odrzucone, gwałcone czy ignorowane zasady – ramy prawne – które mogłyby te wartości chronić i być gruntem prawnym, który umożliwiłby ich przetrwanie. Tylko trzymanie się liberalnych zasad, czy raczej powrót do nich, mogłoby dzisiejszą sytuację uleczyć. Po drugie, w ciągu ostatnich dziesięcioleci, w Polsce i w wielu krajach Europy Zachodniej,

zmieniły się radykalnie polityczne podziały. Nie ma już jasnego podziału na lewicę i prawicę. Nie jest to wielce oryginalne spostrzeżenie; od lat jest o tym mowa. Ale wydaje mi się, że te zmiany, o których od lat się mówi, są czymś innym niż to, co widzimy teraz. Nie chodzi już o to, że „centrum” przesunęło się na lewo ani że różnica między partiami lewicowymi i prawicowymi zdaje się coraz bardziej nikła i nieistotna. Chodzi o coś innego: o to, że najwyraźniejszym podziałem jest teraz nie podział lewica-prawica, lecz podział między liberałami i nieliberałami czy antyliberałami. Jest to podział coraz bardziej jaskrawy, zwłaszcza w Polsce, i zastanowienie się nad nim jest ważne, bo może nam dostarczyć ostrego i precyzyjnego narzędzia do lepszego zrozumienia obecnej sytuacji politycznej i jej niebezpieczeństw.

Na czym polegają te niebezpieczeństwa? O tych zjawiskach ortodoksji politycznej poprawności, które widzimy na co dzień i których instytucjonalizacja w niepokojący sposób miarowo się pogłębia, wiele już pisano: o tym, jak w ostatnich dziesięcioleciach zawęża się obszar wolności, a więc obszar między tym, co zakazane, a tym, co nakazane; o stopniowej degeneracji czy też kompletnej degrengoladzie instytucji demokratycznych, w wielkiej mierze przez ich upolitycznienie, które z kolei jest skutkiem ulegania tej ortodoksji; o niszczącej demokrację, osłabiającej indywidualną odpowiedzialność, rozbijającej społeczeństwo i radykalnie ograniczającej wolność polityce tożsamości grupowej i multikulturalizmu, który nie jest ani „multi”, ani „kulti” (z kulturą w żadnym sensie nic nie mając wspólnego), jest raczej czysto politycznym narzędziem, służącym do wprowadzenia najdoskonalszej homogenizacji; o tym, jak politycy i instytucje polityczne ulegają presji, by te programy wdrażać, uprzywilejowując niektóre grupy kosztem innych, coraz dalej odchodząc od zasad równości wobec prawa; o wynikającym stąd rosnącym zagrożeniu ze strony wojującego islamu,

który świetnie umie wykorzystywać słabości liberalnych demokracji i czyni to z tym większą łatwością, im dalej te demokracje od zasad liberalizmu odchodzą; o coraz większym upolitycznieniu każdej sfery życia; o ingerencji państwa (pod presją poszczególnych grup i według ich nakazów) w coraz to dalsze sfery życia, o obniżaniu standardów i równaniu w dół w imię „antyelitaryzmu”; o jednoczesnym wzroście władzy i wpływów „elit” i „klasy politycznej”; o tępieniu wszelkich autorytetów, tradycji i wartości (jeśli są zachodnie, a zwłaszcza jeśli są chrześcijańskie) i o tym, jak to wszystko dzieje się teraz na poziomie instytucji, prawa, sądów – słowem, o tym, jak długi marsz przez instytucje oto teraz dopiero osiąga swoje apogeum (jeśli marsz może osiągać apogeum).

Niebezpieczeństwa płynące z tej sytuacji, dostrzegalne gołym okiem, są dwojakie; lecz skoro są ze sobą sprzeczne, reprezentują raczej alternatywne scenariusze, i nie sposób na razie przewidzieć, który z nich zwycięży. Według pierwszego z nich postępujące uszczuplanie sfery wolności i niszczenie instytucji demokratycznych skończy się sytuacją, w której będą nami rządziły wyłącznie przez nikogo niewybrane elity Unii Europejskiej. Będzie to klasa polityczna, co się zowie – doskonałe wcielenie tego pojęcia, ponieważ klasa ta będzie już całkowicie odcięta od reszty społeczeństwa i bez żadnej odpowiedzialności wobec wyborców. Będzie to więc rodzaj feudalizmu, w którym my staniemy się niewolnikami, którymi zresztą już połowicznie jesteśmy, przynajmniej duchowo, jeśli jeszcze nie całkiem w sensie materialnym. W każdym razie przybliżamy się do tego scenariusza w niepokojącym tempie.

Drugi scenariusz to taki, że pewnego dnia po prostu znajdziemy się pod panowaniem prawa szariatu. Ten scenariusz wydaje się trochę mniej prawdopodobny, choć nie jest wykluczony. Możliwy jest bardziej totalitarny niż feudalny wariant pierwszego scenariusza. Możliwy jest również inny wariant drugiego, w którym wygrywa jakiś nieislamski – powiedzmy, „rodzimy” – rodzaj dyktatury czy teokracji. I choć chętnie przyznam, że gdybym miała wybór, wolałabym chrześcijańską teokrację albo dyktaturę od wariantu islamskiego, jednak żaden z tych wariantów nie wydaje mi się wielce pożądany.

Dlaczego dyktatura, dlaczego teokracja? Ponieważ coraz jaśniej widać, że ani prawica, ani tym bardziej lewica, prawie w całości przeżarta ideologią politycznie poprawnej ortodoksji, żadnego rozwiązania ani żadnej ochrony przed tymi scenariuszami nie jest w stanie dostarczyć. Zjawiska w rodzaju parady równości (która znów się okazuje dobrym przykładem, więc znów do niej powracam) są jedynie objawem choroby, więc lekarstwem nie może być ich zakazanie – które zresztą doprowadziłoby tylko do głębszych konfliktów i eskalacji roszczeń, a roszczenia te z kolei do coraz skrajniejszych postaw po drugiej stronie, i tak w kółko. W Polsce – w większym stopniu, wydaje mi się, niż w innych krajach Europy – działa w życiu politycznym przygnębiający i szkodliwy mechanizm samonapędzający, przejawiający się eskalacją skrajności postaw politycznych, nawzajem się napędzających, która jest trudna do zatrzymania. Jest do pomyślenia, na przykład, że gdyby prawica nie przeciwstawiała się ustawie o związkach „partnerskich”, lewica nie domagałaby się małżeństw homoseksualnych, które są czysto politycznym roszczeniem, co widać chociażby przez to, że wysuwane jest przez ludzi, którzy przedtem instytucją małżeństwa specjalnie się nie przejmowali lub nawet wygłaszali poglądy, że jest ona przestarzała, „nierelevantna”, absurdałna, patriarchalna itd. (Choć

przyznaję, że w świetle wprowadzenia w życie ustaw o małżeństwach homoseksualnych w wielu krajach Europy, wydaje się to mało prawdopodobne). Albo że gdyby nie chciała zakazać manifestacji gejowskich, nie byłyby one aż tak ostentacyjne i agresywne. W każdym razie mechanizm eskalacji działa przynajmniej po jednej stronie: na prawicy. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że coraz skrajniejsze i coraz bardziej antyliberalne postawy wśród polskich konserwatystów są w pewnej – sporej – mierze reakcją na coraz skrajniejsze i nieliberalne roszczenia, płynące z obozu politycznej poprawności.

Tu właśnie powrót do zasad liberalizmu i konsekwentne ich przestrzeganie jawi się jako jedyne lekarstwo i jedyna ochrona. Potrzebujemy powrotu do zasady równości wobec prawa, uniwersalizmu, wolności wypowiedzi, indywidualnych swobód, odpowiedzialności indywidualnej. Jest to jedyny skuteczny sposób walki z multikulturalizmem, jedyna ochrona przed ingerencją państwa w sfery prywatnego życia, jedyny skuteczny sposób ochrony wartości, które chcemy chronić – oczywiście kosztem ich relegacji do sfery życia prywatnego. A to jest cena, której polska prawica nie chce płacić. Zasady liberalizmu zapewniają największy możliwy w ramach prawa obszar swobody dla niezależnych wspólnot, grup i struktur, ale do tej kategorii należą także Kościół i rodzina. Innymi słowy, zasady liberalizmu nie wyróżniają ani religii, ani rodziny jako szczególnych wartości, zasługujących na specjalną ochronę; chroni je prawo, tak samo, jak chroni wszystkie inne sfery prywatnego życia. Co więcej, państwo nie ingeruje w tę sferę pod warunkiem, że przynależność do tych wspólnot, grup i niezależnych struktur płynie z wolnego wyboru i że istnieje możliwość swobodnego ich opuszczenia. I oczywiście pod warunkiem, że działają w ramach prawa. To właśnie, i tylko to, chroni przed ingerencją państwa. Nie pociąga to za sobą ani braku szacunku dla tradycji, tradycyjnych więzi i wartości, ani tym bardziej

konieczności ich tępienia i odrzucania; znaczy to tylko tyle, że należą one do sfery prywatnej i do sfery wolnego wyboru. Państwo w tej sferze ani niczego nie narzuca, ani nie może zakazać; ale i my niczego nie możemy innym narzucać ani zakazać. Liberalne państwo nie może, na przykład – i to trzeba podkreślić, bo jest na ten temat dużo nieporozumień – nakazać kościołom wyświęcania kobiet ani przyjmowania homoseksualnych księży, ani zlikwidowania hierarchii, ani przyjęcia z powrotem do wspólnoty kogoś, kto został z niej z jakichś przyczyn „wykluczony”, na przykład ekskomunikowany. Nie może, mówiąc ogólniej, narzucić niezależnym ugrupowaniom liberalnych zasad postępowania w ich wewnętrznych sprawach. Liberalizm toleruje ugrupowania nietolerancyjne, póki nie stanowią one zagrożenia dla państwa, nie gwałcą prawa i nie przymuszają swoich członków do przynależności do nich pod groźbą krzywd, które gwałciłyby ich podstawowe prawa i swobody w innych sferach życia.

Prawdą jest, że za to, co się w ostatnich latach dzieje w naszych liberalnych demokracjach, często obwinia się liberalizm. Prawdą jest, że orędownicy „multikulturalizmu”, egalitaryzmu, obowiązkowego ateizmu, nowego, politycznie poprawnego porządku i nowego, wyzwolonego z wszelkich więzi i ograniczeń człowieka, często twierdzą, że w imię liberalizmu i „wolności” działają. Ale ta „wolność”, do której chcą nas zmusić i która niewiele się różni od wolności stalinowskiej, do której też chciano nas zmuszać, nie ma z liberalizmem nic wspólnego. Przeciwnie: liberałowie właśnie w imię liberalizmu i prawdziwej wolności, prawdziwej równości – równości wobec prawa – chcą z tą polityką walczyć. Prawicowi i lewicowi – choć trzeba przyznać, że tych ostatnich nie widuje się wielu. To nie liberalizm każe tępić judeochrześcijańskie wartości, tradycję i rodzinę, niszczyć szkolnictwo w imię równości, stwarzać coraz więcej uprzywilejowanych grup i aparatczyków multikulturalizmu, którzy

zdobywają coraz większą władzę, obejmującą wciąż nowe obszary życia. To nie trzymanie się zasad liberalizmu doprowadziło do groteskowych reakcji rządu angielskiego na ostatni barbarzyński akt terrorystyczny dokonany w Londynie w imię islamu, gdy dwóch muzułmanów z okrzykami „Allahu akbar” w centrum miasta, w biały dzień, na oczach przechodniów, zamordowało brytyjskiego żołnierza, wychodzącego akurat z koszar; to nie liberalizm kazał wstrzymać się od ich potępiania, przestrzegać (któryż to już raz po muzułmańskich aktach terrorystycznych!) przed „masową histerią”, „agresją” wobec muzułmanów i obwinianiem za ten akt pokojowej religii islamu, usprawiedliwiać, mówić o islamskich „racjach” i zaprzeczać, jakoby w ogóle miał tu miejsce jakikolwiek akt terroryzmu. To nie liberalizm kazał szwedzkim władzom reagować podobnie po ostatnich zamieszkach. Liberalizm nie pociąga za sobą, w sposób konieczny ani żaden inny ani multikulturalizmu, ani relatywizmu, ani egalitaryzmu, ani nawet „praw człowieka” w całej ich obecnej groteskowej mnogości. Nie tylko w żaden sposób nie pociąga za sobą multikulturalizmu, lecz nie pozwala nań: jest z tą ideologią radykalnie sprzeczny. Nie każe nam mówić, że wszystkie kultury są równe ani że nie można ich porównywać. Nie jest wrogi religii ani tradycji, ani chrześcijańskim wartościom, ani pojęciu prawdy. Nie jest też w żaden sposób sprzeczny z ideą państwa narodowego. Nie ma w nim niczego, co by zawierało dążenie do jakiegokolwiek utopii. Nie odrzuca przeszłości ani Boga, ani tradycyjnego porządku świata, nie pociąga za sobą wiary w postęp (chyba że w liberalizm jako postęp. Ale trudno, żeby liberał nie wierzył, że państwo zbudowane na zasadach liberalizmu jest lepsze od innego systemu). Nie nakazuje dążenia do stworzenia nowego człowieka, wyzwolonego z wszelkich ograniczeń.

Ale choć można argumentować, że rozmaite dzisiejsze politycznie poprawne nurty, jak polityka multikulturalizmu, są wręcz z liberalizmem sprzeczne, ponieważ tworzą nierówności wobec prawa, a także powiększają rolę państwa zamiast ją zmniejszać, na niektóre tematy liberalizm po prostu się nie wypowiada. Jest neutralny co do wartości i co do wizji dobra wspólnego. I dla istotnej części polskiej prawicy – tej, którą z tego właśnie powodu nazywam nieliberalną – taka neutralność jest nie do przyjęcia. Ich wizja dobrego państwa zakłada, że pewne wartości, pewne tradycje muszą być narzucone i prawnie zagwarantowane; nie zgadzają się na ich relegację do sfery prywatnej. Nie zgadzają się na przykład na relegację religii do sfery prywatnej. Tym samym jednak – powtarzam to po raz kolejny – odrzucają jedyny możliwy sposób zwalczania tych, którzy dążą do całkowitego zniszczenia tych wartości i tradycji (i być może zakazania nawet w sferze prywatnej). Obawiam się, że koszt odrzucenia liberalizmu z tego powodu może się okazać ogromny. I że w chwili, gdy się to okaże, będzie już za późno. Być może już jest za późno.